№ 2. Warszawa, 13 stycznia 1923. Cena 600 mk. Rok IV.

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ:

„O WŁASNYCH SIŁACH".

„Cała równowaga Europy wchodzi w grę. Więzy, które istniały w czasie wojny, znikły. Narody sprzymierzone, które zamieszkują kontynent, mogą liczyć tylko na swoje własne siły i na swoją własną politykę, jeżeli chcą ocalić swój dobrobyt, swoje bezpieczeństwo, swoją niepodległość. Niech myślą o przyszłości".

Słowa te słuszne a godne najwyższej uwagi, pisał niedawno Temps, oceniając sytuację europejską, po rozłamie między Francją i Anglją.

Ocena ta pozostaje słuszną niezależnie od tego, jak się skończy przesilenie międzynarodowe w chwili obecnej. Wojny między Niemcami a Francją może nie być, Anglja i Francja mogą znowu dojść do porozumienia i uzgodnienia w pewnych granicach swoich dążeń i zamierzeń. Ale znaczenie faktu, który dziś zaszedł, jest jasne: dawna zgoda między państwami byłej Ententy nie ma już siły obowiązującej, może być, ale może i nie być, i w każdej chwili może nastąpić sytuacja, w której narody kontynentu zmuszone będą liczyć tylko na swoje siły. Widmo nowej wojny, które ukazało się narodom Eurody, nie powinno przejść jak niezrozumiana i prędko zapomniana przestroga. Prawda od opieki Ententy już dawno cień tylko pozostał, ale w tym cieniu żyły jeszcze narody Europy. I nawet w roku 1920, kiedy przekonaliśmy się, jak mało można liczyć na pomoc Ententy jeszcze z tego cienia jej korzystaliśmy. Nie ochraniał nas prawda nic a nic od Wschodu, ale ochraniał od Zachodu. Bo czyż można mieć pewność, że Niemcy w najkrytyczniejszym momencie dla nas nie podałyby ręki bolszewikom, aby zdusić nas we wspólnym uścisku, gdyby nie powstrzymywało przeświadczenie, że nie tylko Francja, ale i Anglja i cała Ententa na to nie pozwolą.

Dziś, gdy znikł nawet opiekuńczy cień Ententy, wstaje dla nas widmo nowej wojny na dwa fronty, w której możemy liczyć tylko na własne siły i na własną politykę, to jest na sojusze przez nas samych zawarte. Musimy myśleć o tej przyszłości i przygotowywać się do niej, jeżeli chcemy ocalić swoje bezpieczeństwo i swoją niepodległość. A to znaczy przygotowywać nie tyle armię dobrą, lecz konsolidować państwo wewnętrznie, i prowadzić rozumną politykę zewnętrzną. Najwybitniejsza armja bowiem nie uratuje kraju od klęski, jeżeli kraj ten nie ma rządu silnego i polityki mądrej. A że nie może być silnego rządu narodowego i mądrej polityki narodowej przy tem bezwzględnem zaciekłem zwalczaniu się obozów politycznych, jakie u nas panuje, więc złagodzenia i wprowadzenia w pewne granice walki partyjnej jest władnym nakazem groźnej chwili dziejowej. To co było do tej pory lekkomyślnością wobec zadań dzisiejszej życia narodowego, teraz staje się zbrodnią wobec przyszłości Narodu. Jeżeli Państwo Polskie ma stać o własnych siłach, naród powinien siebie opanować, partje powinne opanować ten szał nienawiści, który wykoszlawia nasze życie polityczne, a państwu zgubę gotuje. Dawno już u nas o tem mówi się i pisze się i zdaje się że już zaczynają rozumieć konieczność radykalnej naprawy naszych stosunków. Ale trzeba zrozumieć jeszcze, że wobec groźnej sytuacji zewnętrznej dalej odkładać tej naprawy nie można. Jeżeli dziś tego nie uczynimy, jutro już może być zapóźno.

ZGON Ś. P. MARJI LEDNICKIEJ.

Grono redakcyjne „Tygodnia Polskiego“ dotknięte zostało ciężkim i bolesnym ciosem: 5 stycznia b. r. zmarła w Warszawie po długich i ciężkich cierpieniach ś. p. Marja Lednicka, małżonka założyciela i członka redakcji pisma naszego. Osieroconemu p. Aleksandrowi Lednickiemu, który stracił najwierniejszą towarzyszkę życia od lat młodzieńczych do chwil ostatnich, osieroconym dzieciom p. Wacławowi Lednickiemu i p. Marji Szczyttowej, którzy stracili matkę wzorową o rzadkich skarbach duszy, znanych tylko bliskim przyjaciołom, wyrażamy tu najgłębsze wzpółczucie i najserdeczniejszy żal.

Niech szczere współczucie szerokich kół społecznych, którego tak liczne dowody wciąż otrzymuje osierocona rodzina, którego wyrazem był tłumny orszak kroczący w podniosłym i smutnym nastroju za trumną w dżysty chłodny dzień 9 stycznia, niech to współczucie będzie dla osób najbliższych osłodą tych strasznych chwil, na które, jak się wyraził w liście kondolencyjnym do rodziny zmarłej jeden z wielkich artystów polskich, „czas jeden władny jest rzucić całun kojący z eligijnych wspomnień wytkany“.

Zaiste wspaniałym może być ów całun, wytkany ze wspomnień o św. pamięci Marji Lednickiej, którą tenże artysta nazywa „wielką artystką, wielką panią, wielką gospodynią domu, wielką opienkunką nieszczęśliwych i skołatanych“.

Nie będziemy podnosili zalet obywatelskich i zasług społecznych bliskiej nam osoby, zrobili to inni: ci którzy w imieniu organizacji społecznych złożyli ś. p. zmarłej hołd na cmentarzu—p. p. Aleksander Babiański, Józef Evert, Mieczysław Rudziński, p. Janina Jurkiewiczowa i ks. arcybiskup Edw. Ropp. w mowie wygłoszonej w kościele Sw. Krzyża, którą w głównych ustępach tu podajemy.

MOWA ARCYBISKUPA EDWARDA ROPPA.

Zebraliśmy się tu nie po to, aby wielbić, lecz, aby modlić się i Boga prosić. Ale w tej chwili żałobnej przed trumną zamkniętą, nie możemy nie skupić myśli naszej na tej, ktora zakończyła swą ziemską pielgrzymkę i odeszła tam, gdzie wszyscy odejść mamy.

Niełatwe życie miała św. p. Marja, bo któż nie wie, jakie kilkadziesiąt lat temu panowały stosunki w Rosji, gdzie wiara nasza nie była szanowaną, gdzie dość było, by chociaż jeden w rodzinie należał do wyznania dominującego, by stworzyć konieczność ciężkich przejść.

Chrzczona w naszej świętej wierze katolickiej, gorliwie przez rodzinę w niej wychowana, miłująca tę wiarę całą siłą swego serca św. p. Marja z tych właśnie przyczyn, o których mówiłem, za wiarę cierpiała, musiała kryć się z tem, co była dla niej najdroższem, i trwożyć się o los tych, którym życie dała.

Niezłomna w swych zasadach moralnych, obdarzona przez Pana Boga wielkim talentem artystycznym, pięknym głosem, który rokował jej wspaniałą karjerę sceniczną, życie pełne blasku, powodzeń i sławy, rzuciła to wszystko w ofierze uczuciu miłości dla tego, którego za swego wybrała i któremu przez całe życie była najwierniejszą towarzyszką, najserdeczniejszą pomocnicą w doli i niedoli, będąc jednocześnie najpiękniejszym wzorem matki.

Polka i katoliczka stworzyła dom, który był ogniskiem cnót obywatelskich, w którym gorzał wielki płomień miłości do ojczyzny, do której tęskniła całą siłą swego serca.

Nie było celu publicznego, z wiarą lub polskością związanego, w którym św. p. zmarła nie wzięłaby najżywszego udziału, rozsypując hojną ręką dary Boże, jej dane, pobudzając wszystkich do pracy dla celów narodowych, służąc w tej pracy przykładem wytrwałości. Nie było kościoła katolickiego na niezmierzonych obszarach Rosji, zbudowanego w latach pięknego życia św. p. Marji, w którym nie byłoby w tej lub innej formie jej cegiełki. .

A różne były koleje tego domu, który świecił wszystkim przykładem. Były lata powodzeń, szczęścia ludzkiego, wdzięczności ludzkiej, były lata smutku i prześladowań, ale najstraszniejsze były ostatnie lata w Moskwie, kiedy sama pozostała we własnym domu, którego była stróżem, jako twierdzy polskiej, kiedy bandy zdziczałe bolszewickie rzuciły się nań, zrabowały wszystko, pozbawiły wszystkiego, a byli między nimi i polacy, którzy się wtargnęli do tego przybytku pracy zbożnej, by zniszczyć jej zbiory. Ś. p. Marja wytrwała nieustraszona na przeznaczonym jej posterunku.

Wracać musiała do Polski drogą długą i daleką i na północy czekać musiała w rozłące z mężem i dziećmi, w niepokoju o nich, bez środków i pomocy, daremnie czekając pozwolenia na przejazd od tych, na których złość ludzka wkazywała, jak na — „przyjaciół Lednickich“.

Wr szcie wróciła... O jakże cierniową okazała się ta droga powrotu do umiłowanej ojczyzny, gdzie zamiast słusznej oceny i wdzięcznej satysfakcji za wielką pracę rzucono nikczemne oszczerstwa i obelgi na głowy tych, którym nic zarzucić nie można i którzy nic oprócz zasług wobec Polski nie mają.

Oto — typ matrony polskiej godny naśladowania, przed którą wszyscy chylimy czoła.

Zerwaną została nić, łączaca ją z życiem doczesnem, ale odchodząc z tego świata, nie przestała żyć w nas samych.

Nie zmarłaś, św. p. Marjo, a żyjesz i żyć będziesz nieśmiertelnie. Wdzięczną pamięć pozostawiłaś w sercach tysięcy rodaków, zostawiłaś wspomnienie o wielkich cnotach Polki i katoliczki, matki i obywatelki.

Ś. p. MARJA LEDNICKA.

(Wspomnienie pośmiertne).

Słyszałem nieraz jej śmiech wesoły, szczery z serca płynący szeroką kaskadą dźwięków — śmiech świadczący o tem, że miała lata niezamąconego szczęścia, bo tak śmiać się mogą ci, którzy są albo przez długi czas byli bardzo szczęśliwi. Ale częściej widziałem jej łzy, niż słyszałem ten śmiech jej. Nie znałem jej bowiem w latach spokojnego i pogodnego życia, kiedy mogła w pełni odczuwać szczęście osobiste.

Poznałem św. p. Marję Lednicką dopiero w 1914 r. który przeszył byłem każde serce prawdziwie ludzkie i rozpoczął ten okres przesilenia w dziejach ludzkości, kiedy nowe życie w mękach się rodzi, a stare w jeszcze większych cierpieniach umiera...

Gorąca patrjotka polska, a jednocześnie kobieta o szerokim humanitarnym poglądzie na świat i o wysokiej kulturze artystycznej odczuwała ś. p. Marja Lednicka sercem i rozumem nie tylko niedolę Polski, ale cały ten ogrom nieszczęścia, jaki za sobą dla ludzkości wojna światowa niosła, i niemało nad nią łez wylała.

Płynęły łzy w 1914 r. na widok pierwszych ofiar wojny i na myśl o tych klęskach jakie spadły na Polskę, i polały się jeszcze obficiej w roku 1915, kiedy rozpoczęła się męczarna wędrówka uchodźtwa polskiego.

A jednak owe lata łzami zroszone, nie były latami smutku i rozpaczy. Był bezmiar cierpienia, lecz był też i ogrom pracy. Do walki z klęską uchodztwa polskiego stanęła armja cała pracowników, a dom moskiewski państwa Lednickich był tej armji główną kwaterą.

Drzwi domu literalnie nie zamykały się od rana do wieczora, nie ustawały dzwonić telefony, przychodziły i wychodziły stosy depesz. Wierna towarzyszka męża w wir pracy społecznej rzuciła i gospodyni domu, stęskniona do domowego zacisza i miłująca sztukę. Organizacja ochronek i szpitali, zebrania, posiedzenia, zbiórki, koncerty, wypełniały dzień od rana do wieczora, a ta praca wytężona nie mogła nie rodzić radosnej świadomości, że niesie się ulgę cierpiącym, że żyje się dla kraju. Więc choć łzy się cisnęły do oczu, nieraz tryskał z duszy i rozchodził się po obszernych pokojach moskiewskiego domu w owe groźne czasy radośny i głośny śmiech gospodyni.

Ale nadchodziły czasy jeszcze groźniejsze i cięższe.

Po listopadowym wybuchu 1917 r. zatrzęsła się ziemia, na której stał moskiewski dom Lednickich. i wszystko dokoła zaczęło walić się w gruzy: podwaliny państwa rosyjskiego i podstawy życia prywatnego. Z pod gruzów wydobywały się jęki ginących ludzi, Ochraniany przez cień nietykalności dom Lednickich, jako dom Przedstawicielstwa Polskiego, był przez jakiś czas wyspą śród rozhukanego morza zniszczenia, a do wyspy tej wyciągały się ręce tonących i niosły się wołania o pomoc i ratunek. A najczęściej ratunku podać niemożna było. I to było źródłem największej męki dla ś. p. Marji Lednickiej, która słyszała te jęki i wołania o pomoc, ale przyjść z pomocą, jak dawniej przychodziła, już nie była w stanie.

Co mogło zrobić odcięte od Polski Przedstawicielstwo, tylko tolerowane, ale nie uznawane przez Sowiety, kiedy bolszewicy skazywali na śmierć obywatela polskiego lub dopuszczali się innych gwałtów? Zakładać protest na piśmie, wiedząc najczęściej, że nic z tego protestu nie wyjdzie... Myśmy pisali noty protestujące... ś. p. Marja Lednicka płakała... I już nie słychać było jej śmiechu. A potem przestał istnieć i ten cień nietykalności. Morze bolszewickie zalało i tę ostatnią placówkę polską. Było to w listopadzie 1918 r. P. Aleksander Lednicki wezwany przez Radę Regencyjną jeszcze w październiku do Warszawy, był nieobecny, dzieci ś. p. Marja Lednicka wyprawiła jeszcze wcześniej i pozostała sama jedna, kiedy bolszewicy wtargnąwszy się z rewolwerami w ręku do gmachu Przedstawicielstwa, zmusili pracowników przedstawicielstwa do opuszczenia lokalu i zagospodarowali się w nim sami, pozostawiając kilka pokoi od podwórza, jako prywatne mieszkanie, dla gospodyni domu. Kto wchodził teraz od frontu do gościnnego domu Lednickich, ten wpadał w objęcia komunistów i dostawał się do czrezwyczajki, a do pani domu chodziło się przez zasypane śniegiem podwórze i pukało się do drzwi od kuchni, które otwierała wystraszona służąca.

Pozostawać samej jednej ze steroryzowaną służbą w domie zagarniętym przez bolszewików, których najbardziej zasadniczą cechą jest zupełna nieobliczalność czynów, oczywiście nie było przyjemne, ale ś. p. Marja Lednicka nie chciała opuścić dobrowolnie placówki i pozostawała w zagarniętym przez bolszewików domu przez cały miesiąc, aż do chwili, kiedy władze sowieckie na żądanie stanowcze rządu polskiego zwolniły (nie na długo zresztą) od okupacji dom Przedstawicielstwa, a ś. p. Marji Lednickiej wydały paszport dyplomatyczny, pozwalając wyjechać przez granicę finlandską.

Nie mogąc wyrzucić bolszewików z zajętej połowy domu, śledziła, aby nie przekroczyli zaznaczonej w protokóle linji demarkacyjnej i nie wtargnęli do prywatnego mieszkania. Była śmiałą i stanowczą. Oczy jej wówczas łez nie znały, a w osamotnionych pokojach znieważonego domu znowu rozlegał się głośny śmiech jej, lecz już nie ten dawny radośny śmiech szczęścia, lecz zimny szyderczy śmiech protestu. A kiedy nadchodziły długie wieczory zimowe, w pustym domu ku zdumieniu straży bolszewickiej rozbrzmiewał silny i piękny śpiew kobiecy: to samotna pani śpiewała swoje arje ulubione. Te same arje w tym samym domu zbierały entuzjastyczne oklaski elity towarzyskiej Moskwy — teraz słuchały tylko noc ciemna za oknami, a za drzwiami w czarnych kurtkach skórzanych zbiry z czerezwyczajki.

Były to ostatnie w Moskwie koncerty ś. p. Marji Lednickiej....

Dziś, kiedy noc ostatnia—noc śmierci pochłonęła życie jej, myślę o tym jej śpiewie śród nocy. Śpiewem tym, kobieta-artystka nietylko tęsknotę wyrażała, ale stwierdzała swoją indywidualność i rzucała wezwanie mrokom nocy—nie tej długiej zimowej, ale tej potwornej nocy chaosu, bezładu i bezprawia, która z niskich dusz ludzkich wylęgła i usiłowała zgasić wszystko, co piękne, rozumne i jasne. Dusza światło i piękno miłująca tryumfowała nad mrokiem przemocy....

Widziałem ś. p. Marję Lednicką na parę tygodni przed śmiercią. Straszna choroba, która zjadała jej ciało, tak wycieńczyła ją, że poznać jej rysów nie mogłem, zdawało się, że nic nie

zostało z dawnej jej cielesnej postaci, głos niegdyś tak piękny był tak słaby, że ledwie mówić mogła, ale jej postać duchowa nie uległa zmianie, dusza została rozumną, szlachetną i jasną. Noc śmierci nie zwyciężyła jej.

Słyszałem opowieść o jej ostatnich chwilach i myślę, że w tym ostatnim strasznym momencie zmagania się gasnącego życia z mrokiem niebytu w duszy jej dźwięczała ta pieśń ukochania, z którą przeszła przez życie całe, i z pieśnią tą dusza jej odeszła do lepszego świata, gdzie słucha już nieziemskich śpiewów.

Leon Kozłowski.

Centralny problem naszej epoki.

Wykład w T-wie Lekarskiem w Krakowie.

Szanowni panowie! Pozwolę sobie zaprzątnąć Waszą uwagę tem, co w tytule nazwałem „centralnym problemem naszej epoki". Jest to zagadnienie djagnostyki socjologicznej. Panowie jako fachowcy w djagnostyce lekarskiej znajdziecie zapewne żywszy, niż kto inny, interes w śledzeniu pracy myśli, dążącej do wysnucia pewnych wniosków o stanie tego wielkiego pacjenta, którym jest dzisiaj świat cywilizowany.

Lecz zaraz na początku możemy utknąć na kwestji, czy w ogóle istnieje pacjent, czy dzisiejszy świat cywilizowany przedstawia rzeczywiście obraz patologiczny?

Podobnie, jak w biologji, tak w socjologji sądy o „zdrowiu" lub „chorobie" są sądami wyłącznie wartościującemi. Przy całej ich możliwej objektywności istotną ich treścią pozostaje zawsze ustalenie stosunku danego stanu organizmu do całokształtu jego procesu życiowego. Jeżeli dany stan proces ten życiowy ułatwia, jeżeli samo życie, jako najwyższe dobro, przedłuża, to uznamy go za stan dodatni i jako taki nazwiemy „zdrowym". W przeciwnym razie będziemy mówili o stanie t. zw. „chorobowym".

Ściśle biorąc, niema w socjologji, podobnie jak w całej naturze, stanów anormalnych czyli patologicznych, skoro wszystkie wynikać muszą z dostatecznych przyczyn i wywoływać właściwe sobie swoiste skutki. Pojęcie anormalności lub patologiczności zjawi się dopiero, jako skutek zestawienia i porównania danego stanu ze stanem postulowanym, z tych czy innych względów pożądanym.

Jeżeli więc zgodzimy się na to, że naturalnem dążeniem społeczeństw jest szczęście ich członków w myśl zasady: maximum zadowolenia dla maximum jednostek, to dopiero porównując różne zjawiska współczesnego nam życia społecznego w cywilizowanym świecie z tym określonym wyżej postulowanym stanem szczęścia powszechnego, otrzymamy dostateczną podstawę do sądów o tem, czy pacjent, o którym była mowa na początku, istnieje, czy nie istnieje, czy dzisiejsze społeczeństwo cywilizowane jest zdrowe czy chore.

Dla uniknięcia dygresji w dziedzinie, której wyczerpanie wymagałoby nie jednego lecz kilkudziesięciu wykładów, zakładam z góry, że Panowie widzicie i uznajecie istnienie wielkiej dyskrepancji między owym postulowanym stanem szczęścia społecznego a rzeczywistym stanem dzisiejszego społeczeństwa cywilizowanego, że więc uznajecie chorobliwość tego stanu, ergo, zgadzacie się na to, że przedłużanie się i utrwalania tego stanu musi z konieczności proces życiowy społeczeństwa utrudnić, a pewne formy życia społecznego, z tych czy innych względów cenione, zniszczyć.

Sądzę, że po tym przydługim może wstępie niebezpieczeństwo najgrubszych przynajmniej nieporozumień między nami zostało zażegnane i że mogę już wkroczyć—in mediae res.

Wojna światowa i stan po wojnie wytworzony w Europie stanowią obok upadku państwa rzymskiego największy przewrót, jaki dokonał się w dziejach rasy białej od jej zarania. Jeżeli zaś idzie o obszar, na którym się ten przewrót rozegrał, o liczbę ludzi, których on w wir swój wciągnął, wreszcie o skutki, jakie w biegu czasu musi kolejno wywołać, to dzieje upadku imperjum Rzymskiego i wszystkich towarzyszących temu procesowi zjawisk są w porównianiu z obecnym przewrotem tylko jakgdyby pożarem wielkiej wsi wobec trzęsienia ziemi w San Francisco i zawalenia się prawie całego tego ogromnego miasta.

Lecz jeżeli ilościowe różnice są tak ogromne, to jeszcze większe są różnice jakościowe tych sił, które w jednej i w drugiej katastrofie działają, i tych problemów, które w drodze tych katastrof rodzą się i rozwiązania swego szukają.

Leży już w naturze umysłu ludzkiego, przyzwyczajonego przedewszystkiem do mierzenia i liczenia, że ilościowe cechy zjawiska uderzają go najszybciej i zastanawiają najgłębiej. Niemniej jednak, panowie, właśnie jako lekarze i przyrodnicy wiecie najlepiej, że główne problemy kryją się w dziedzinie cech nie ilościowych lecz jakościowych. Kwestja, ile cukru wywozi djabetyk w swoim moczu, jest ważna dla terapii. Lecz dla djagnostyki rozstrzygającym jest sam fakt tego wywozu bez względu na jego kolejny wzrost lub upadek.

W wojnie światowej w czasie od 1 sierpnia 1914 r. do końca października 1918 r. postawiła koalicja 40 miljonów ludzi pod bronią, blok centralny zaś 22 miljony. Z tego koalicja straciła 14 proc. w zabitych, 34 proc. w rannych, a 10 proc. w jeńcach, blok zaś centralny 18 proc. zabitych, 33 proc, rannych, 15 proc. jeńców. W sumie tedy biło się ze sobą w wojnie światowej 62 miljony ludzi, z czego 15 proc. zginęło, a 35 proc. odniosło rany.

Populacyjne straty świata cywilizowanego, poniesione wskutek wojny, wynoszą tedy wedle obliczeń socjologicznego instytutu w Kopenhadze 10,200 tysięcy zabitych, 20,850 tys. strata urodzeń, 6 milj. przyrost śmiertelności. Łącznie tedy wojna światowa kosztowała świat cywilizowany 37 miljonów istnień ludzkich.

Gotowych pieniędzy, czerpanych już to wprost z zapasów istniejących przed wojną, już to—w stopniu bez porównania wyższym—z kredytu obciążającego przyszłe pokolenia, wydano na wojnę łącznie 760 miljardów marek w złocie. Z tego państwa koalicyjne wydały 510 miljar-

dów, centralne zaś 250 miljardów. Co te cyfry oznaczają, pozwoli Panom bliżej określić fakt, że cały zapas złota światowego szacowany jest obecnie na 30 miljardów marek.

Interes w znaczeniu kupieckiem na wojnie zrobili tylko dwaj belli-geranci — Stany Zjednoczone i Japonja. Z porównań bowiem szacunkowych wynika, że majątek narodowy Stanów Zjednoczonych wzrósł z cyfry 850 miljardów w r. 1914 na sumę 1 200 miljardów marek zł. w r. 1919. Majątek zaś narodowy Japonji wzrósł w tym samym czasie z 80 miljardów na 100 miljardów. Natomiast wszystkie inne państwa w wojnie udział biorące straciły na niej majątkowo w mniejszym lub większym stopniu. Najwięcej straciła Rosja, której majątek, szacowany przed wojną na 250 miljardów, wynosił w r. 1919 tylko 100 miljardów. Po Rosji drugie miejsce w rzędzie poszkodowanych zajmują Niemcy, spadłszy z 375 miljardów na 250 po wojnie, w co reparacje nie zostały wliczone. Wielka Brytanja z 325 miljardów majątku narodowego wyniosła z wojny tylko 275 miljardów. Francja z 260 miljardów spadła na 180 miljardów, Włochy ze 100 miljardów obniżyły się na 80 miljardów.

Wszystkie te cyfry mimo swego ogromu wydałyby się jednak stosunkowo drobnemi, gdyby istniała możność wyliczenia, ile wynoszą straty, poniesione przez cywilizowaną ludzkość w utraconych dniach roboczych 62 miljonów ludzi, którzy się bili i tych setek miljonów innych ludzi, którzy przez cztery lata przeszło dostarczali bijącym się środków zniszczenia, gdyby dalej istniała możność obliczenia poprostu liczby tych kilogramometrów energji, która została w wojnie i dla celów wojny przez narody cywilizowane zużytą bez przybliżenia ich do tego celu najwyższego, którym jest zdefiniowane na wstępie pojęcie szczęścia społecznego.

Ale nawet po takich uzupełnieniach, które musimy pozostawić, raczej wyobraźni i uczuciu niż ścisłemu dociekaniu, stalibyśmy ciągle jeszcze tylko wobec ilościowych cech zajmującego nas zjawiska. I jakkolwiek cechy te są tego rodzaju, że najbardziej optymistyczny i w sztukę swoją zadufany terapeuta może wobec nich bezsilnie opuścić ręce, to jednak nie w ich sferze mieszczą się najważniejsze i najtrudniejsze problemy. Straty materjalne, jakkolwiek ogromne, są zawsze do odrobienia. Kolektyw ludzki jest tak żywotny, w rozporządzeniu jego znajdują się takie środki, że straty te mógłby wyrównać w czasie stosunkowo nawet bardzo krótkim.

Jeżeli ich jednak nie wyrównuje, lecz przeciwnie z dniem każdym pomnaża, to przyczyny tego faktu leżą w sferze zgoła odmiennych relacji, leżą one mianowicie w dziedzinie zagadnień konstytucjonalnych cywilizowanej ludzkości. W samej bowiem konstytucji cywilizowanych społeczeństw, w samej naturze naszej cywilizacji tkwią przyczyny tego procesu, który najpierw doprowadził do wojny, który sprawił, że wojna miała taki właśnie a nie inny przebieg, że tak a nie inaczej została zakończona i że daje takie właśnie a nie inne dalsze konsekwencje.

Zstąpmy na chwilę o piętro głębiej ku tym zagadnieniom konstytucjonalnym cywilizowanej ludzkości, a spostrzeżemy już na pierwszy rzut oka, że są one bez porównania zawilsze i trudniejsze do analizy, niż wszystkie wyliczone i tylko wspomniane populacyjne i ekonomiczne skutki wojny,

Jeżeli powiem, że istotą cywilizacji jest rozwijana przez człowieka sztuka wydobywania i rozporządzania coraz większą siłą w walce jego z otoczeniem, to będzie to uogólnienie może zbyt szerokie, aby cokolwiek naprawdę wyjaśniało, ale w żadnym razie nie będzie ono fałszywem.

Od czasu, kiedy człowiek przynaglony utrudniającemi się warunkami klimatycznemi okresu interglacjalnego zlazł z drzewa i ujrzał się zmuszonym szukać pierwszego w dziejach swoich „namiastki" smakowitych i dotąd w obfitości znajdowanych orzechów, owoców, małchy ptaków i płazów, odtąd problem powiększania swej siły czy to przez pracę myśli, potęgowanie przemyślności i inteligencji, czy przez wynajdywanie i wytwarzanie różnych narzędzi, powiększających naturalną siłę mięśni stał się dla człowieka problemem biologicznie podstawowym. Od jego każdoczesnego rozwiązania zależy odtąd byt człowieka zarówno w jednostce, jak w gatunku.

Patrząc z tego punktu widzenia na historję ludzką, możemy bez trudu zauważyć, że o ile w gromadzeniu siły czysto intelektualnej człowiek osiągnął wyżyny swego rozwoju stosunkowo bardzo wcześnie, o tyle w umiejętności wydobywania i mnożenia sił czysto materjalnych posuwał się stosunkowo bardzo powoli. Innemi słowy w rozwoju ludzkości filozofja wyprzedziła technikę o ogromny kawałek drogi. Jeżeli w dziedzinie filozofji wykrycie i sformułowanie mniej lub więcej ścisłe fundamentalnych problemów znajdujemy już w filozofjach greckiej, indyjskiej i chińskiej, to w dziedzinie techniki człowiek nie tylko do bardzo niedawna trzymał się uporczywie swoich dziecinnych bucików lecz nawet okazywał wyraźną niechęć do ich zmiany w czemkolwiek Historja przechowała nam całe szeregi odkryć technicznych i przyrodniczych, które przez setki i tysiące lat pozostawały niezużytkowane. Dość powiedzieć, że już Heron syrakuzański znał dokładnie zasadę machiny parowej, ale posługiwał się nią tylko dla konstruowania zabawek dziecinnych.

Do okresu wielkich najazdów mongolsko-turańskich człowiek cywilizowany zadawalał się stosunkowo bardzo drobnym zapasem źródeł siły. Ogień w najprymitywniejszem jego zastosowaniu opałowem i hutniczem, siła kilku rodzai zwierząt domowych, wreszcie siła wiatru, ujmowana w sposób bardzo nieekonomiczny i siła spadającej wody — oto właściwie wszystkie źródła siły, z której czerpał człowiek daleki od umiejętności i metodyczności w wyzyskaniu nawet i ich wydajności. Dopiero Mongołowie przynieśli z Chin znajomość ognia jako siły wyrzucającej. Dzięki niej przeszli jak huragan przez całą niemal ówczesną ekumenę cy-

wilizowaną. Po nich zaś Turcy usadowili się w Bizancjum, które — prażyli jak wiadomo — ogniem t. zw. „greckim“.

Przyswojenie sobie przez narody europejskie prochu strzelniczego wywołało w ich życiu ogromny przewrót. Stało się powodem głębokich zmian nie tylko w ukształtowaniu granic państw, lecz także wielkich przemian w ustroju społecznym narodów europejskich. Na gruncie tego wynalazku możliwem jest dopiero tworzenie się wojsk zaciężnych, w konsekwencji stopniowy upadek rycerstwa i feodalizmu, utworzenie się systemu t. zw. absolutyzmu oświeconego i t. d. A jednak wynalazek prochu i umiejętność jego używania, na tym poziomie, na jakim widzimy je jeszcze na końcu ośmnastego wieku, wydają się nam dziecinnemi zabawkami, porównane z dzisiejszym stanem rzeczy w tym względzie. Kiedy Szwedzi oblegali Wawel, to główna kwatera szwedzka znajdowała się w miejscu dzisiejszego kościoła Bożego Ciała, ponieważ leżało ono już poza sferą ognia artylerji wałowej obrońcy. Jeszcze w reglamentach wojskowych armji Napoleona mówi się, że ogień muszkietowy zaczyna się z odległości 150 kroków, ogień zaś armatni można otwierać dopiero na odległość tysiąca kroków.

Jak widzimy, ludzkość aż do najnowszych niemal czasów zwiększała liczbę i wydatność źródeł swojej siły zarówno twórczej jak niszczycielskiej tylko bardzo powoli i jakgdyby z ociąganiem się. Trzy wojny, prowadzone w Europie już w wieku pary i elektryczności, które wstrząsały umysłami naszych ojców, mianowicie wojna prusko-austryjacka, niemiecko-francuska i rosyjsko-turecka, jakkolwiek dostarczyły sposobności do rozwinięcia niewidzianych dotąd zasobów siły technicznej — mobilizacja i szybkość ugrupowania niemieckiego we Francji, przejście Rosjan przez Dunaj pod Sylistrją, obrona Plewny, wzięcie Sedanu, — to jednak wszystko to mieściło się ciągle jeszcze w granicach rozszerzanych odpowiednio pojęć ludzkich o tem, co człowiek w swej zbiorowości może, a czego nie może. Jeszcze wojna rosyjsko-japońska, jakkolwiek prowadzona już po obu stronach bronią szybkostrzelną i środkami wybuchowemi takiemi, jak dynamit, piroksylina, szimoza i t. p, dała wprawdzie obraz niebywałego spotęgowania się sił niszczycielskich w ręku człowieka, jednakowoż i ona jeszcze ze wszystkiemi swemi doświadczeniami mieściła się w granicach ustalonych i opracowanych wyobrażeń powszechnych. Żadna też armia europejska nie wysnuła z tej wojny światoburczych wniosków, żadna n.p. nie wykryła na podstawie tych doświadczeń znaczenia broni automatycznej, w szczególności karabinu maszynowego, żadna nie oceniła należycie znaczenia ciężkiej i najcięższej artylerji. W stosunku do tego instrumentu n.p. stano aż niemal do środka wojny światowej na stanowisku, że artylerja ciężka ma znaczenie tylko drugorzędne, które nie równoważy trudności transportowych, że szybkość ognia nie powinna być potęgowana poza pewne granice, ponieważ naraża to na niebezpieczeństwo zbyt szybkiego zużycia dotacyj amunicyjnych i t. p.

Dopiero w trakcie wojny światowej pod ciśnieniem woli do zwycięstwa i strachu przed konsekwencjami klęski, które kierowały stronami walczącemi, „homo militans“ zaczął szybko czynić jedno po drugiem odkrycia, z których każde stanowi dla siebie epokę, bez porównania większą i donioślejszą w skutkach, niż wprowadzenie w średnich wiekach prochu strzelniczego.

Właściwie nie były to odkrycia w ścisłem tego słowa znaczeniu. Były to raczej tylko coraz to nowe i coraz to szersze zastosowania faktów i praw znanych z badań przyrodniczych nieraz od dawna. Wszakże trujące właściwości gazów chlorowych n.p. zna każdy początkujący uczeń w chemji z pierwszych swoich nieudolnych prób laboratoryjnych. Wszak nawet ten słynny z okropnych skutków gaz cynowy, który Niemcy zastosowali z końcem r. 1916 w swoich t. zw. „Gelbe und rothe Gaskreuzgranate“, był chemikom znany od lat przeszło czterdziestu ale zapomniany prawie jako nieużyteczny.

(D.n.). **Konstanty Srokowski.**

PRASA A PAŃSTWOWOŚĆ.

Ostatnie wypadki zwróciły uwagę powszechną na działalność społeczno-wychowawczą prasy. Zadawano sobie pytanie, czy atmosfera zgęszczona, przepojona nienawiścią, czy wyostrzenie w kuźniach wulkana — burzyciela broni, czy syggestja fałszywa i niezdrowa, czy demagogja pędząca na szczudłach pseudo-patrjotycznych, nie owinęły przeczulonych usposobień powojem maniactwa i nie przyczyniły się do wydania „mściciela“, bobatera pospolitego, który chce przejść do historji byle jaką furtą, obciążony bodaj przekleństwem żywych i umarłych.

Niemcewicz powiedział o współczesnych sobie mądralach: „mniema się każdy wódz Napoleonem, każdy cywilny Solonem“... Barzykowski, autor znakomitej książki o ruchu z 1831 r., wyraziście uchwycił rys listopadowej generacji: „Dzisiaj prawie wszyscy roszczą sobie prawo stanowienia o przeznaczeniach Ojczyzny, zlekkomyślnością nie do darowania rzucają jej losy na kartę i dlatego ich usiłowania nietylko na niczem spełzają, ale jeszcze wielkie sprowadzają klęski“. Wynik egocentrycznych usiłowań rozmaitych ćwierćdusz, maleństw sfanatyzowanych był nadto widocznym. Jeden z poważnych dyplomatów orzekł z surowością: *les Polonais ne savent organiser que le désordre!* Mamy i dziś Solonów, mamy pęcherze rozdęte, mamy tępoty, kandydujące do nieśmiertelności na kartach naszego Liwiusa, Tacyta i Plutarcha. Umiał Protazy, nie umiałby Gerwazy?... Ich umysłowość chorobliwa, ich wyobraźnia zneurastenizowana czekają na chwilę czynu wielkiego, na chwilę szaleństwa potężnego. Niech tylko pożar zrumieni niebo poszukają łuczywa, aby go podsycić i przekazać nazwisko potomności, jak ów plebejusz duchowy, ów brutal, który w starożytności spalił wielką bibljotekę, — byle zapisać się w kronice pamięci ludzkiej.

Nasza prasa — z wyjątkami jednakże — nie uprzytomniła sobie należycie, że zniesiono słupy graniczne i na polach dawniej odgrodzonych po-

wstała nowa państwowość. Zaczęło się w niej od pomruków, przekomarzań, skończyło na łotofagji, wzajemnej nagance na „galileuszów“, — „kongresowiaków“ i „poznaniaków“. A gdy na wzorzyście splecionej tkaninie złagodniały nieco dzielnicowe przekąsy, wyłoniły się w pełni całej tarcia sekt politycznych, uprawiane z pasją pantery. Przeważnie nie była to polemika, dążenie ścieżkami rozmaitemi do Rzymu, ale rzucanie na siebie pochodniami rozjarzonemi bez względu na to, czy od iskier rozwianych zajmie się poszycie strzechy państwowej. W rozjątrzeniu wszystkich przeciw wszystkim zatracono zmiłowanie nad całością, której ściany nieraz trzeszczały, wieżeje wychodziły z zawias, sklepienie rysowało się,— a mimo to staliśmy. Staliśmy zaś i stoimy nie w myśl sejmikowej historozofji Imci Pana Dębińskiego, który ongi wywodził, że Bóg przeznaczył Polakom funkcję „rekreowania Go i cieszenia“, aby mógł patrzeć na ich rządy, wyprawy, wszelkiego rodzaju postępki; a przeto wziął ich w szczególną opiekę i zginąć nie pozwoli... Dziś, postąpuje się tak, jak byśmy pancerz ochłonny domorosłego filozofa wzieli na piersi i puścili się w taniec rozkładu, gwoli rozweselenia Opatrzności, która sprawuje, że „ustawicznie walimy się, a przecież stoimy, ustawicznie gaśniemy a przecie jako słońce jakie po zachodzie wschodząc jaśniejemy, ustawicznie giniemy a przecie żyjemy“... Tylko to, co dobre było za pierwszego Sasa nie powinno powtarzać się żadną miarą i zawieźć nas w podcienia jakby nowej pokuty rozbiorczej.

A jednak poniekąd powtarza się...

Prasa przyczyniała się do stworzenia zamętu zgarnąwszy ten sam ogień namiętności, który gorzał w społeczeństwie. Przeważnie nie rzeczowa, spokojna krytyka wyzierała z jej szpalt, tylko rozpęd do stratowania przeciwnika. Nic nie ostało się przed atakami: ani jednostki, ani autorytet. Sponiewierano wszystkie nazwiska, nie uratowano ani jednego jako podpory dla skołatanego społeczeństwa i kredytu zaufania zagranicznego. W braku autorytetu mniej więcej stylowego wypłynęły dalszorzędności dla wypełnienia miejsc pustych. Wtedy można było spostrzedz, że dużej i dzielnej inteligencji łatwiej jest wybić się w narodzie oświeconym i wyrobionym, niż wśród powszechności, udającej mądrość polityczną i tem udawaniem pokrywającej zimny i nieubłagany stosunek do jednostek chcących i umiejących działać celowo. Wśród takiego nastroju nie spełniła prasa w znacznej części obowiązku nauczycielskiego, nie była katedrą i busolą, tylko zbiornikiem namiętności, ugrzęła w chaosie, w który wpadł ogół po uszy. Przeoczenie ideału zbiorowego, państwowego, przy równoczesnej dobrej wierze, że się jest jego puklerzem w szermierce o zasady czysto partyjne sprawiło, że kraj został narażony na straty niepowetowane, że mimo wszystkich pomyślnych znaków na niebie i ziemi dymiał i dymi na podobieństwo wulkanu niebezpiecznego. Przeoczenie ideału zbiorowego, państwowego, pociągnęło za sobą udręki, zniepraw iło charaktery i wydzierało od czasu do czasu okrzyk grozy z szlachetniejszych piersi. Przez dwa lata urządzaliśmy widowisko p. t. „Hejże na Soplicę“ i dopiero najazd bolszewicki ściągnął kurtynę i wymógł front jednolity. Zaledwo wszakże groza minęła poszarpano w kawałki *armiscitia* i powetowano sowicie czas pauzy... Na pobojowiskach nie zostali zwycięzcy ani zwyciężeni, ale zostały góry goryczy wzajemnej i nienawiści, rozpadliny pod naszą monetą, nieufność świata, potrząsanie głowami. I chociaż powierzchownie spokój w Polsce, jaki taki ład, rozległo się wołanie: ratujcie Polskę!... Ot, niby beduin osamotniony przelatuje przez oazę i uprzedza o nadchodzącem sirocco. Okropny tragizm tkwi w tem uprzedzaniu... Prześlizgiwał się on niejednokrotnie przez szpalty prasy, prawie zawsze jednak w postaci nienawistnych zarzutów pod adresem współobywatela — wroga. Naładowana elektrycznością atmosfera doprowadziła wreszcie do mordu. Wówczas dopiero zapytano, czy i prasa nie ponosi części winy?...

I ona musi uderzyć się dłonią w pierś i uznać, — że była *magna pars* wypadków, że nie regulowała ruchu, treści i formy społecznych objawów, nie ujmowała ich w należyte karby, owszem sama przyczyniała się do podniesienia nastrojów bitewnych i moment osobisty często stawiała ponad ogólny. A zatem, dobrowolnie porzuciła stanowisko nauczyciela i krytyka, arbitra zrównoważonego, zeszła z wyżyn dostojnych na płaszczyznę bokserską, wyzwoliła się z przywileju wzniesienia się nad ciżbę. Sama odkręciła kurek od kranu i zamknąć go nie mogła, choć woda lała się już strumieniami, tak jak w pracowni owego czarnoksiężnika z bajki Goethego.

Tamę rozdrażnianiu z pomocą prasy kres należy na zawsze położyć.

Tylko nie środkami kagańcowymi.

Mickiewicz zwalczał w artykule z marca 1849 r. skrępowanie druku we Francji: „Otóż to pewna — zauważył — że zarządzenia stosowane przez władze francuskie przeciw wolności słowa wiodą z nieubłaganą koniecznością aż do nakazu mówienia na korzyść rządu“.

Podobnie wymuszona życzliwość nie posiada żadnego znaczenia. Państwowość, zwłaszcza państwowość młoda, ma prawa swoje i wymagać musi uszanowacia ich przez powszechność, szczególniej przez organa publicystyki. Inaczej wolność zamieni się w swywolę, swywola zaś może zachwiać i domem silnym, a cóż dopiero świeżo scementowanym, potrzebującym umocnienia. Na szczęście są u nas pisma znające tę prawdę i one winny zostać zodjakiem koło którego skupi się zdrowa myśl narodowa i państwowa.

Ernest Łuniński.

Polityka Polski niepodległej.

Szkic programu. Stanisław Bukowiecki. Warszawa. — E. Wende i Spółka. Towarzystwo Wydawnicze Ignis.

„Człowiekowi, nie biorącemu czynnego udziału w bieżącem życiu politycznem polskiem — pisze p. St. Bukowiecki — trudno dopatrzeć związku przyczynowego pomiędzy danym krokiem rządu a krokiem poprzednim i następnym“. Cechą charakterystyczną naszej polityki — zarówno wewnętrznej jak zewnętrznej, jego zdaniem — jest chaotyczność i bezprogramowość. Jako wytrawny i głęboki obserwator życia narodowego, nie szuka on jednak winowajcy tego stanu rzeczy, gdyż wie, że poza błędami jednostek i grup — są jakieś istotniejsze źródła złego, sprawiające, że właśnie te jednostki lub grupy dochodzą do wpływu i znajdują pole działania. Przyczynę istotną widzi

autor w tem, że wszystkie przedwojenne programy polityczne, mając jako cel ostateczny odzyskanie niepodległości, dotyczyły tylko wyboru dróg wiodących do tej mety, a poza nią nie wychodziły.

„To, co się nazywa programem polityki bieżącej — nie może być w normalnem państwie czemś dorywczem, z dnia na dzień przez przywódców wymyślonem; ale na to, aby miało istotne warunki siły i życia, winno się opierać na podstawie pewnego programu zasadniczego, pewnej trwałej ideologji narodowej, ulegającej nieznacznej ewolucji pod wpływem wymagań życia, w istocie swej stałej, z pokolenia w pokolenie przekazywanej".

Takiej tradycyjnej linji politycznej nie mamy dzisiaj, gdyż okres niewoli przerwał nić tradycji, a w krótkim okresie niepodległości, wypełnionym niemal wyłącznie wysiłkami ku uzyskaniu odpowiednich dla interesu narodowego granic, — nowy kierunek polityczny nie zdołał się ustalić.

Czy to było nieuchronną koniecznością, czy tylko okolicznością łagodzącą, autor nie rozstrzyga. Byłoby przecież zupełnie równie naturalne i zrozumiałe, gdyby ci, którym idea niepodległości była myślą przewodnią — rozwijali dalej tę ideę, brali w rachubę tradycje dawne i w nich odkrywali owe zasadnicze linje wskazujące naturalny kierunek dziejowego rozwoju. Faktem jest, że tak się nie stało, że pierwsi sternicy naszej nawy państwowej nie ogarniają szerszych horyzontów politycznych, a pochłonięci wyłącznie bieżącą aktualnością, nie zdolni się okazują do tworzenia programu, któryby mógł przechodzić „z pokolenia na pokolenie".

Książka p. Bukowieckiego jest szkicem takiego programu i jako taka zasługuje już przez to samo na uznanie, gdyż budzi świadomość, że zagadnienie takie istnieje i domaga się rozwiązania.

Istotnie bowiem nieobliczalne szkody wyniknąć mogą dla narodu stąd, że w działaniu rządu polskiego brak wszelkiej ciągłości, n każdy nowy gabinet wnosi do polityki nietyle nawet nowy kierunek, ile nową serję niespodzianek, z żadnym stałym kierunkiem niezwiązanych. Przypomnijmy sobie tylko, ile szkody wyrządzała nam ta bezprogramowość w takiej np. sprawie wileńskiej, w której okazało sie, że jedyne rozwiązanie realnie możliwe, równie zadawalniające dla przedstawicieli narodu polskiego w sejmie polskim i ludności wileńszczyzny w sejmie wileńskim, leżało w kierunku wręcz przeciwnym, niż ten, który wskazywała urzędowa delegacja polska w międzynarodowych konferencjach.

Jakże zabójczem dla wszelkich dalszych poczynań naszej dyplomacji może się stać odkrycie, że kto chce Polaków zadowolnić, nie powinien ich o zdanie pytać!

Jako zasadnicze kryterjum programowe stawia autor polską rację stanu, wyraz, który wyszedł z użycia w okresie niewoli, znienawidzony, gdy w imię cudzej racji stanu skazywano nas na zagładę, który jednak dziś wskrzesić trzeba, gdy posiadamy własne państwo. Dawniej, jako wydziedziczeni ze wszystkiego, nie mieliśmy nic do stracenia, mówi autor; obecnie zaś jesteśmy bogaczami, „staliśmy się bardzo odpowiedzialni, to też przy każdem zamierzeniu politycznem winniśmy skrupulatnie rozważyć, czy nie jest ono ryzykownem dla państwa. Zaszczepianie w duszach Polaków poczucia odpowiedzialności za losy kraju, to apostolstwo wiodące najpewniej do zbawienia.

Racja stanu stanowi kryterjum programów lecz z niej żadnego programu konkretnego wysnuć nie można, a raczej można wysnuć wszystkie. Różnice zależą od tego, w czem upatrujemy rękojmię trwałości i pomyślności państwa. To też właściwy program p. Bukowieckiego zaczyna się dopiero tam, gdzie przechodzi do powszczególnych kwestji polityki zewnętrznej i wewnętrznej.

Zgodnie ze swem założeniem obejmowania raczej szerokich horyzontów politycznych a nie zamykania się w ciasnych ramach bieżących aktualności, stawia autor tezę, że Polska musi się przystosować do ogólnych prądów współczesnego świata cywilizowanego, te zaś po wielkiej wojnie światowej uległy zasadniczej zmianie. Nie przeceniając obecnego znaczenia i wpływu Ligi Narodów, widzi w niej jednak p. Bukowiecki zapoczątkowanie nowej ery w stosunkach międzynarodowych, nowy wyraz dążeń do uniwersalizmu, które w różnych epokach dziejowych różną przybierały postać. Polska, jego zdaniem, winna popierać wszystko to, co sprzyja znaczeniu i powadze Ligi Narodów, lecz opierać się bezwzględnie przekształceniu jej w jakieś „nad państwo" ograniczające suwerenność państw poszczególnych.

Wielka wojna przyniosła tryumf zasady narodowości, oczekiwany i zapowiadany przez wszystkich porozbiorowych patrjotów i myślicieli polskich.

Zaznaczając ten fakt — słusznie przestrzega autor, by zbyt wiele na nim nie budować. Panowanie prawa w stosunkach międzynarodowych nie jest ani tak powszechnie przyjęte, ani tak silnie zagwarantowane, by naród ożywiony pokojowemi dążnościami nie potrzebował zabezpieczać się przeciw przemocy organizowaniem własnej siły obronnej. Położenie Polski narzusą jej konieczność stałego pogotowia wojennego, to też antymilitarystyczna propaganda jest dla niej bardzo niebezpieczna. O stosunku społeczeństwa polskiego do wojska wyraża się autor z pesymizmem niezbyt uzasadnionym.

Zjawiskiem zupełnie naturalnem i zrozumiałem — nietylko w Polsce — jest fakt, że w czasie wojny, gdy naród całe swe nadzieje pokłada w wojsku, cały swój zapał patrjotyczny skupia na obrońcach ojczyzny. Po wojnie stosunek ten się zmienia, nie tylko w świadomości ogółu, lecz praktycznie. Póki trwa wojna, wojskiem jest cała męska ludność kraju; w czasie pokoju staje się ono tylko szkołą, kierowaną przez zawodowców. Aktualnością palącą stają się wtedy różne prace pokojowe, zaniedbane w okresie wojennym a domagające się tem intensywniejszej mobilizacji sił ludzkich, im bardziej dały się krajowi odczuć klęski i spustoszenia wojenne. Stosunek narodu do jego siły zbrojnej nie zależy od „systematycznej propagandy ideowej" — o jakiej mówi autor, lecz od umiejętnego kierowania tą szkołą, jaką stanowi powszechna służba wojskowa. Tam młodzież uczyć się powinna dzielności i karności, honoru i patrjotyzmu, poszanowania prawa, ścisłej sprawiedliwości, surowej odpowiedzialności, sumiennego spełniania obowiązku.

Mając w ręku tak potężny czynnik wychowawczy, jak powszechna służba wojskowa, nie potrzeba chyba uciekać się do specjalnej propagandy, by zaszczepiać opinji świadomość, czem jest wojsko dla narodu.

Ponieważ jednak wchodzimy w okres pokojowy, wielce na czasie są rozważania na temat, jak zabezpieczyć byt i rozwój narodu bez wojny, to jest przez utrzymywanie przyjaznych stosunków i zawieranie korzystnych przymierzy z innemi narodami. — Polska jest w tem niewygodnem położeniu, że ma w bezpośredniem swem sąsiedztwie bądźto otwartych wrogów, bądź podejrzanych przyjaciół, a sprzymierzeńcy jej — choć potężni, oddzieleni są od niej zbyt odległą przestrzenią, by mogli dawać skuteczną pomoc. Autor widzi szczęśliwe wyjście z sytuacji jedynie w skupieniu we wspólnym sojuszu drobnych państw środkowej i wschodniej Europy, wśród których Polska, jako stosunkowo najsilniejsza, mogłaby grać rolę przodującą. Jak wiemy, w roli „organizatora związku państw mniejszych“—ubiegły już Polskę Czechy, tworząc „Małą Ententę“, której front zwrócony jest jednak, nie jakby chciał autor i jak nakazywałby interes Polski — przeciw Niemcom i Rosji, lecz przeciw Węgrom,—t.j. jedynym stałym i pewnym w doli i niedoli sprzymierzeńcom Polski.

Mówiąc o sojuszach, trzeba jednak w realnym programie politycznym, brać w rachubę te państwa, które są, i te stosunki, jakie w nich i między niemi panują. Obmyślając różne możliwe i pożądane konstelacje polityczne w środkowej i wschodniej Europie, p. Bukowiecki podlega pewnym złudnym suggestjom, których nikłość i fantastyczność zdołały ujawnić fakty, nim książka po napisaniu ukazała się w druku. Do takich należy naprzykład wskrzeszanie Wielkiego Księstwa Litewskiego w jego dawnych granicach, jako państwa rozciągającego się „od Królewca do Dniepru i Dźwiny“, o charakterze narodowo obojętnym, ponieważ zawierałoby ludność polską, niemiecką, litewską i białoruską. „Pozostając pod przemożnym wpływem Polaków“ — pisze p. B — „musiałoby ono z konieczności znaleźć się w stałym związku z Polską“.

Jak wiemy, główną ale całkiem wystarczającą przeszkodą do utworzenia takiego państwa było to, że na określonym przez autora obszarze nikt, literalnie nikt budować go nie chciał. Państwa o charakterze narodowo obojętnym mogły powstawać w dawnych wiekach, bądź drogą podboju, bądź też drogą spadków lub małżeństw w ręku jakiejś dynastji. Na to, aby dziś państwo nieistniejące wskrzesić, trzeba patrjotyzmu obywateli, którzy o jego wyzwolenie walczą i gotowi są nadal kosztem ofiary krwi i grosza jego byt niezawisły utrzymywać. Tradycja dziejowa istnieje tylko dla tych, którzy ją w swej pamięci i świadomości przechowali, zaś na ziemiach, których kontur skreślił p. Bukowiecki, utrzymała się ona wyłącznie wśród Polaków i to jako tradycja państwa polskiego, które ongi nie dzieliło się na Polskę i Litwę, lecz Koronę i Litwę, jako dwie części tej samej nierozdzielnej Polski. Nie był narodowo obojętnym kraj, który przeżył wraz z Polską całą jej epopeję bohaterską i całą martyrologję porozbiorową, który stworzył najwspanialsze ogniska kultury narodowej, a i w czasie ostatniej wojny niejednym czynem bohaterskim i ofiarnym stwierdził swą łączność z Polską.

Dodać trzeba, że państwo „narodowo obojętne“ nie może być godnym zaufania sąsiadem, ani pewnym sojusznikiem, od czasu gdy nie dwory i dynastje zawierają traktaty i przymierza — lecz zbiorowe ciała, wybierane przez ogół mieszkańców. Trudno też liczyć na to, aby tam wpływy polskie mogły się ugruntować na nowo w warunkach wręcz odwrotnych, niż te, w jakich ongi zapuściły korzenie. Polskie rządy, polskie szkoły, polskie instytucje publiczne—wreszcie polskie osadnictwo sprawiły, że kraj był polskim. Rząd rosyjski wytępił w nim kulturę polską, język polski, tradycję polską — tak jak teraz czyni rząd litewski w Litwie Kowieńskiej.

Trzeba bardzo uporczywie głuszyć wymowę jaskrawych faktów, by nie uznać prawdy oczywistej, że wydając ten kraj w obce ręce, poddajemy go zarazem obcym wpływom. Zrzekając się opieki nad własnym narodem, czyż można pretendować do roli protektora narodów innych?.

Taką rolę protektora chciałby narzucić Polsce p. Bukowiecki. Autor sporo miejsca poświęca dowodzeniu, jak pożądanem jest dla Polski istnienie niepodległej Ukrainy, jakkolwiek wyznaje otwarcie, że „w miarę utrwalania się państwowości ukraińskiej idea państwowa — o ile wogóle ma zdolność do życia, doprowadzić musi do moralno-politycznego zespolenia całego plemienia, które dążyć będzie do zjednoczenia“.—A zatem — w myśl poprzednich wywodów autora — musimy się pogodzić z myślą, że budując niepodległą Ukrainę i otwierając jej łaskawie widoki ekspansji aż po Don, musielibyśmy zgóry liczyć się z koniecznością dodania jej z czasem obszarów zachodnich po San.

Wprawdzie dla osłodzenia gorzkiej prawdy dodaje autor pocieszające zapewnienie, że i Rosja z Kamieńca i Żytomierza nie przestałaby sięgać po Lwów i Chełm, że niepodległa Ukraina zawsze raczej w Rosji niż w Polsce widziałaby swą antagonistkę. Wszystko to są miłe marzenia, którym rzeczywistość codzień kłam zadaje. Widzimy, że republika sowiecka w chwili bieżącej równie łatwo likwiduje samoistność „sfederowanej“ republiki ukraińskiej, jak Rosja carska ongi niepohamowana żądzę swobody Kozaczyzny, że odporność względem wpływów wielkoruskich, która na Ukrainie naddnieprzańskiej nigdy nie dawała się Rosji we znaki, i dziś jest tam minimalna.

Wszystkie te wywody o wschodnich sąsiadach Polski, mających jej oddać cenną usługę odgrodzenia jej od Rosji, stoją w rażącej sprzeczności z umieszczoną tuż po nich charakterystyką pojęcia narodu:

„Pojęcie narodu jest pojęciem politycznem. Łączność terytorjalna, rasowa, językowa, wyznaniowa, obyczajowa, gospodarcza nie jest dostateczna dla nadania zbiorowości charakteru narodu; konieczny jest tutaj czynnik polityczny, a więc państwowość rzeczywista, albo przynajmniej państwowość potencjalna, t. j. tradycja własnej państwowości.“ Takiej tradycji własnej państwowości nie posiadają, — ani Ukraińcy, ani Białorusini.

Ta rażąca sprzeczność, zarówno z własnem założeniem teoretycznem, jak i z rzeczywistoś-

cią historyczną i współczesną, osłabia wartość programu politycznego p. Bukowieckiego, gdyż sprawa narodowościowa wysunięta jest w nim na pierwszy plan, a stosunek do naszych wschodnich kresów zajmuje lwią część jego pracy. Natomiast rozdział poświecony kwestji żydowskiej oparty jest na rzeczowym rozbiorze i wszechstronnem oświetleniu sprawy samej. Tutaj też czytelnik znaleść może wiele ważnych wskazań zgodnych z polską racją stanu. Toż samo powiedzieć można również o rozdziałach omawiających politykę względem wyznań religijnych oraz reformę agrarną. Szkoda tylko, że zarówno w tym ostatnim rozdziale, jak w następnym, poświęconym rozwojowi przemysłu i polityce społecznej — autor, zresztą bardzo rozważny i umiarkowany w stawianiu postulatów, czuł się zobowiązanym zamanifestować swój demokratyzm wycieczkami przeciw źle widzianym na lewicy klasom społecznym: ziemiaństwu i inteligencji miejskiej. Czyż można inaczej niż krzywdzącą insynuacją nazwać takie np. zdanie: „Przeobrażenia społeczne doby powojennej wywołały w szerokich warstwach t. zw. inteligencji zobojętnienie a nawet wprost niechęć do żywiołów ludowych, jakgdyby za to, że żywioły te osiągnęły wyższy stopień dobrobytu i uzyskały wpływ w państwie“. To, co autor przypisuje niskim pobudkom zawiści, czy nie jest raczej wyrazem troski o interes państwa, o polską „rację stanu“, która każe baczyć na to, raczej, *jakie*, a nie *czyje* wpływy w państwie przemagają?—Każdy wybujały egoizm klasowy może być równie zgubny, jak był ongi egoizm stanu szlacheckiego, a więc i tych klas społecznych, które z upośledzonych stały się uprzywilejowanemi.

Program zawarty w książce p. Bukowieckiego może dać pole do szerokiej i wyczerpującej dyskusji, ala zagajenie tej dyskusji musi być mu poczytywane za zasługę dziś, gdy aktualność bieżąca i walki partyjne zagłuszają każdy głos poważnego napomnienia, że tu przecież chodzi o sprawy, które w ciągu stuleci rozegrywać się będą, a w których należy brać w rachubę nie interes tego lub owego obozu lecz długiego szeregu przyszłych pokoleń.

I. M.

PASTEUR JAKO BADACZ i JAKO CZŁOWIEK.

(Dokończenie).

* * *

Nie można mówić o Pasteurze jako o badaczu, nie poruszając wewnętrznych cech jego ludzkiego ducha, który pod tym względem zbliża się do ducha wielkich wieszczów. Każdy z nich był owiany głęboko tkwiącem uczuciem miłości Ojczyzny, żył jej radością, cierpiał jej bólem.

I u Pasteura wybija się to uczucie bólu, gdy widział, że Francja nie docenia wartości badań naukowych. Będąc bardzo z natury żywym i ruchliwym, dla badań nad kwasem winowym pojechał do Niemiec, Austrji, Włoch; wszędzie tam, zwłaszcza w Niemczech, widział, jak jest traktowanana nauka i w licznych swoich pismach i przemówieniach ubolewał nad lekkiem traktowaniem przez rząd i społeczeństwo nauki ścisłej. Przytoczę tutaj jedno z jego powiedzeń: „Francja nic nie robi dla podtrzymania rozwoju i rozpowszechnienia nauk ścisłych, będąc sama ofiarą niestałości w swych stosunkach parlamentarnych. Poddaje się ona tylko zewnętrznym impulsom. Żyła zresztą zawsze swą wielką przeszłością, sądząc się wyższą ponad inne narody i licząc na dawną swą przeszłość naukową, której zawdzięcza obecny dobrobyt. Zamknęła ona powoli źródła postępu nauce, gdy natomiast narody sąsiednie, pełne własnej inicjatywy, zawładnęły na swoją korzyść zdobyczami, które coraz szerzej zastosowują do przemysłu. Niemcy mnożą nieustannie ilość wszechnic, powodując konieczne ich współzawodnictwo; otaczają honorami swych mistrzów i uczonych. Francja natomiast, w ciągłem poszukiwaniu lepszej formy rządu, zajęta zmianami w ministerstwach, nie ma czasu ani możności zająć się poważniej szkolnictwem ludowem, średniem ani wyższem. A przecież przodowaliśmy nauką innym narodom, które wziąwszy od nas myśl, zorganizowały lepiej od nas jej wykonanie“.

Wielki Francuz nie był, jak widzimy, badaczem zamkniętym jedynie w ciasnem kole swych badań. Widział on braki, które wówczas groźne były dla Francji, widział bezowocność waśni partyjnych, które tak silnie szkodziły rozwojowi handlu i przemysłu, opartego na racjonalnem wyzyskaniu doświadczeń i odkryć naukowych. Jest to nauką nietylko dla Francji,

A mówił to Pastour, prawie w przededniu wojny z r. 1870, która tak fatalnie skończyła się pogromem Francji i supremacją Niemiec, gdzie właśnie górowały te czynniki, których znaczenie przewidział Pasteur.

Na sobie samym Pasteur odczuwał najlepiej, z jakimi trudnościami walczyć trzeba było, ażeby we Francji módz pracować naukowo. Jego główna pracownia w Ecole Normale super. w Parażu, był to pokoik ciemny, niski, mierzący nie więcej niż 10 mtr. kwadratowych podłogi. A przecież stąd wyszły jego najlepsze prace nad samorodstwem. Prawda, że Pasteur nie ograniczał się na pracach w tej pracowni. Gdy trzeba było studjować fermentację wina i piwa, robił to, urządzając sobie na miejscu podręczną pracownię i dobierając pomocników z pośród niekoniecznie ludzi fachowych i kształcił ich sobie i zagrzewał swym zapałem, często w ten sposób zniewalając do zajęcia się jedną z gałęzi nauk, nad któremi pracował. Bardzo wiele prac wykonał przy pomocy żony i córki, jeżdżąc z niemi np. dla badania choroby jedwabników. Gdy otrzymał pierwszą nagrodę pieniężną od Towarzystwa Chemicznego 1500 franków, — połowę tych pieniędzy obrócił na zakupno potrzebnych do pracowni chemicznej w Strassburgu przyrządów.

Trzeba jednak zaznaczyć i oddać sprawiedliwość rządowi francuskiemu, że zwrócił on wcześnie uwagę na zasługi Pasteura i darzył go zaufaniem, którego nie miał w tym stopniu pomiędzy fachowymi uczonymi już po jego

pierwszych odkryciach. Już w 30 roku życia został on kawalerem orderu legji honorowej, potem otrzymał pensję 12.000 a następnie 25,000 franków rocznie pensji dożywotniej. Wysoki patrjotyzm Pasteura objawił się najsilniej podczas wojny z r. 1870. Tutaj nastąpiło zdarzenie niezwykłego dla niego znaczenia. Cenił on bardzo wysoko objawy uznania ze strony fachowców. Za każdym takim objawem, zwłaszcza jeżeli nastąpił on ze strony uczonych zagranicznych, mawiał, że cieszy go to nietyle ze względów osobistych, ile że posłuży na chwalę ukochanej Francji.

Wielką też wartość miał dla Pasteura dyplom honorowy Uniwersytetu w Bonn, jaki otrzymał on w r. 1868 od przedstawicieli nauki narodu wrogo usposobionego względem Francji. Tem większą przywiązywał doń wartość, iż niejednokrotnie stawiał za przykład to poszanowanie dla nauki, jakie na każdym kroku w Niemczech ujawniano. Ale te Niemcy w 1870 r. poważyły się bombardować Paryż i niszczyć najpiękniejsze zabytki kultury, sztuki i przybytki nauki francuskiej.

Gniew rozgorzał w sercu Pasteura, gdy się dowiedział, że granat wpadł na podwórze szkoły normalnej, a drugi do ambulansu z chorymi, którzy cudem prawie ocaleli. gdy został zniszczony ogród botaniczny, pełen rzadkich okazów roślin. Pasteur, nieobecny wówczas w Paryżu, gdyż po niedawnym ataku porażenia został przewieziony na wieś do stron rodzinnych i tam musiał przebyć oblężenie Paryża— na wieść o tych barbarzyństwach odesłał dyplom honorowy rektorowi w Bonn z listem pełnym słów oburzenia dla króla pruskiego. Ówczesny rektor, dr. Neuman odpisał, że odsyła Pasteurowi jego paszkwil, ażeby nie plamić archiwów uniwersytetu oraz, że wyraża mu pogardę. Na to Pasteur odpisał drugi list, w którym oznajmia, że wyraz pogardy, z jakim się spotyka z ust wrogich, równa się dla niego, jako Francuza, wyrazom najwyższego uznania, a więc przyjmuje go jako wyrażenie odpowiadające „vir clarissimus“,

„Serce mi się ściska na myśl“, — pisze Pasteur, „że my obaj z panem, którzy życie poświęciliśmy badaniom prawdy i szerzyliśmy postęp w umysłach, odzywamy się teraz w taki sposób do siebie. Plama wojny pozostanie na zawsze na tych, którzy rozpoczęli bombardowanie Paryża, jakkolwiek dobrze wiedzieli, że kapitulacja miasta z powodu głodu była nieuniknioną konsekwencją wojny“.

Czyn ten maluje dosadnie sposób, w jaki Pasteur pojmował miłość ojczyzny, nie zapoznając przytem ani na chwilę, że najwyższym obowiązkiem badacza jest jego praca dla całej ludzkości. Jakże piękną była jego myśl, wypowiedziana na jubileuszu 70-letnim swych urodzin, gdy wyrzekł te pamiętne słowa: „si la science n'a pas de patrie, l'homme de science doit on avoir une“. Albo na otwarciu Instytutu swego imienia, gdy zwrócił się do obecnego tam prezydenta Rzeczypospolitej. Tu musimy przytoczyć w streszczeniu to przemówienie: „Panie Prezydencie, ośmielam się wypowiedzieć uwagę, która mi się nasuwa, gdy widzę Pańską osobę w tej sali. Zdaje mi się, że stoją tu dwie przeciwne sobie zasady. Jedna to prawo siły, która zmuszając Państwo do obrony swych granic musi dążyć do użycia siły, wynajdywać coraz nowe sposoby walki. To prawo krwi i śmierci zmusza narody do ciągłej gotowości do wojny i walki Ta druga zasada prowadzi do pokojowej pracy i ma na celu wyzwolenie ludzkości od grożących jej klęsk Gdy pierwsze prawo poświęca ambicji jednostki lub grupy jednostek tysiące istnień ludzkich, to drugie każe je ratować nawet bez względu na niebezpieczeństwo osobiste i stawia życie ludzkie ponad wszelkie zwycięstwa. To drugie prawo, którego narzędziami jesteśmy my, zmusza nawet wśród wojny leczyć krwawe następstwa prawa śmierci. Opatrunki wynikające z naszych metod ratują życie tysiącom żołnierzy. Które z tych praw zwycięży. Bóg jeden to wie. My tylko to wiemy, że nauka tu w naszym powstała kraju, posłuszna prawom humanitarnym, usiłuje *rozszerzyć granice życia*“.

Wobec ciągle nowych odkryć, które zmieniały zupełnie dotychczasowe poglądy, Pasteur nie mógł nie napotykać silnego oporu ze strony rutynistów. To też stale walczył i zwalczał niezgodne ze swemi doświadczeniami poglądy. W walce był nieugiętym rzecznikiem wykrytych przez siebie prawd i niezłomnym rycerzem ścisłości doświadczenia.

Gdy ktoś przytacza zwykłe wyrazy, rozpoczynające często zdanie pracy naukowej — wiadomo, że — co wiadomo, — nic nie wiadomo. Trzeba najpierwej przerobić, to będzie wiadomo. W sporach bezpłodnych o drobiazgi, nie dotyczące rzeczy, zabierające drogi czas w dyskusji, odzywa się: jeżeli panowie X i Y znacie sprawę — to gdzie wasze sumienie, a jeżeli jej nie znacie, to poco się wtrącacie i zabieracie drogi czas w niepotrzebnych dyskusjach.

Najprzykrzejszemi dla niego są czasy ostatnie, gdy ogłosił wynalazek leczniczo-ochronnego szczepienia wścieklizny. Napaści przybrały zwłaszcza ostrą formę, gdy zaczęły się mnożyć nieudane przypadki leczenia tej choroby. Wówczas pojawiły się nawet głosy, ażeby przerwać tak szkodliwą metodę. We Francji szczególnie zwalczał go klinicysta Peter, w Austrji prof. Frisch.

Dalsze badania jednak oddały słuszność metodzie Pasteura. W ostatnich latach powstały ze składek międzynarodowych Instytut imienia Pasteura w Paryżu niedługo tylko oglądał Mistrza; zmarł on w 1895 r. i pochowany w krypcie Instytutu.

Niezwykła dobroć, wyrozumiałość, czułość na cierpienie były cechą charakterystyczną tego wielkiego męża. Umiał on znaleźć czas nawet w ostatnich chwilach życia na zainteresowanie się pracami swych uczniów i licznej rzeszy pracowników.

Do czasów Instytutu Pasteura bakterjologja była nauką, która we Francji nie była w Uniwersytecie nauczaną i kandydaci lekarscy jeszcze przed wojną w Instytucie Pasteura uczyli się zasad tej nauki. Tutaj znów pokazał się w całem świetle proroczy umysł Pasteura, jakie znaczenie ma jego nauka — zwłaszcza po wybuchu wielkiej wojny.

Instytut Pasteura było to jedyne prawie źródło lekarzy epidemjologów i hygjenistów dla wojska. Ich brak mocno dał się uczuć zwłaszcza w początku wojny; wszystkie surowice i szczepionki pochodziły z Instytutu Pasteura, poza pewną ilością szczepionek przeciwtyfusowych wytworzonych w pracowni w Val de Grace.

Ile ofiar z ran i chorób pociągnęłaby wojna, gdyby nie było Instytutu Pasteura.

Śmiało rzec można, że wieki czekały na Pasteura i jego odkrycia. Wieków trzeba, ażeby podobny umysł znów się narodził.

Prof. O. Bujwid.

ORGANIZACJA TEATRALNA W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Na tle zarzutów, stawianych różnym „managerom" teatralnym zarówno przez krytykę, jak i publiczność, wywiązała się w ostatnich czasach w prasie amerykańskiej ożywiona dyskusja naokół samych warunków funkcjonowania teatru, w których szukać należy jednej z zasadniczych przyczyn jego niedomagań i braków. Organizacja teatralna, zaadoptowana w Stanach Zjednoczonych, różni się istotnie całkowicie od systemów przyjętych ogólnie w Europie i jest nawet wyosobnioną w długiej już historji sceny, nie dostarczającej przykładów analogicznych urządzeń. Zaprowadzono ją zresztą w samej Ameryce przed kilkudziesięciu dopiero laty. Dodajmy jednak, że jeśli ma dziś, z racji zwłaszcza artystycznych, wielu przeciwników, to nie brak jej również gorących obrońców. A że do ostatnich należą w pierwszym rzędzie sami managerowie, zaś wraz z nimi aktorzy i autorowie, przeto dość dużo danych przemawia za tem, by, mimo dość wyraźnego niezadowolenia z istniejącego stanu rzeczy, nie zaszły w nim na razie zmiany poważne.

Na czem jednak polega właściwie odrębność tej organizacji? Najbardziej charakterystyczną jej cechą jest fakt, że teatry amerykańskie nie posiadają stałych trup aktorskich. New-York nie może uważać żadnej z grywających w nim trup za ściśle związany z tą czy inną z jego widowni zespół aktorski. To samo dzieje się w innych wielkich miastach Stanów Zjednoczonych. Ostatnie stałe trupy, których losom przywodzili głośni kierownicy teatralni: Daly, Wallack, Palmer, przestały istnieć w New-Yorku mniej więcej przed ćwierćwiekiem. Pomiędzy r. 1909—1911, Winthrop Ames próbował wskrzesić dawną tradycję w New-Theatre, jednej z wielkich scen metropolji. Nie doznał jednak w swych wysiłkach powodzenia z różnych względów, przedewszystkiem zaś z racji rozmiarów teatru i niewłaściwego wyboru miejsca, w którem go postawiono.

Przy zaprowadzonym od lat kilkudziesięciu systemie, każdy manager, przyjmujący jakąś sztukę, formuje dla odegrania jej specjalną trupę, dobierając aktorów stosownie do wymagań interpretacji i starając się obsadzić w należyty sposób wszystkie, choćby najbardziej podrzędne role. Manager bierze wogóle na siebie całą odpowiedzialność za wystawienie rzeczy zarówno pod względem artystycznym jak i technicznym, a więc podobnież jak doborem trupy zajmuje się wyreżyserowaniem sztuki i dostarczeniem odpowiednich akcesorów, kostjumów i dekoracji. Po kilkotygodniowych próbach daje rodzaj wstępnego przedstawienia w jednem z mniejszych miast, a następnie, w najprędszym jak może czasie, przystępuje do wystawienia rzeczy w którymś z teatrów new-yorskich. Jeśli sztuka przyciąga publiczność, trupa objeżdża z nią, po wyczerpaniu powodzenia w Metropolji, wszystkie wielkie miasta Stanów Zjednoczonych — Boston, Chicago, San Francisco, Filadelfię, przewożąc oczywiście ze sobą wszędzie wszystkie akcesorja i dekoracje. Z chwilą atoli gdy rzecz przestaje dawać odpowiednie dochody, trupa zostaje rozwiązana, akcesorja i dekoracje idą na przechowanie do składów lub są zwyczajnie rozprzedane, a manager przystępuje do szukania nowego złotodajnego utworu, do którego dobierze nowy zespół aktorów. Oczywiście nadzieje okazują się czasem zawodnemi, zdarzają się jednak dość często sztuki, nie schodzące w taki sposób z afisza przez dwa, trzy, cztery lata. Trafienie szczęśliwe na jedną z tych produkcji, wypełniających po brzegi sale teatralne przez długi szereg miesięcy, jest, jak to łatwo zrozumieć, celem dążeń każdego managera.

O ile teatr miałby być traktowany przedewszystkiem jako zyskowne przedsiębiorstwo, system ten posiada niezaprzeczenie dość liczne strony dodatnie. Sztuka, przyciągająca szerokie masy publiczności przez parę czy kilka lat z rzędu, wypełnia kieszenie managera, autora i gwiazdy, o ile rzecz wymaga takowej, i zapewnia ogółowi aktorów korzystne i długie kontrakty. A objeżdżanie z utworem szeregu miast powiększa znacznie możliwości tego długiego przetrwania na afizu. Z drugiej strony należy przyznać, że manager nie zaniedbuje niczego, coby mogło zapewnić to trwałe powodzenie i, tak samo jak o doskonały zespół aktorski, dba o wyreżyserowanie rzeczy i o osiągnięcie pod względem dekoracyjnym rezultatów, stojących na wysokości najdalej idących wymagań. Ponadto kilka i kilkanaście miast poza New-Yorkiem korzysta z zachodów, jakie włożył w jej wystawienie, a jakich nie mógłby podjąć dla poszczególnych utworów swego repertuaru jeden stały teatr.

Gdy jednak patrzeć będziemy na rzeczy ze stanowiska zadań i interesów czystej sztuki, ujemne strony systemu okazują się znacznie liczniejszemi, niż dodatnie. Szukając sztuk obliczonych na aplauzy tłumów, manager ulega z konieczności pokusie schlebiania ich gustom, a więc dawania pierwszeństwa jak najbardziej przejaskrawionym farsom lub melodramatom, naecchowanym tem szczytnem nagromadzeniem nieprawdopodobieństw, w którem celuje melodramat amerykański, trzymający chyba prym w tym kierunku. Służenie czystej sztuce wymaga poświęceń, często zupełnego zrezygnowania z wszelkich korzyści materjalnych. Nie zdobędzie się na to żaden prawie manager, a nie brak, niestety, i autorów, którzy w pogoni za łatwym zyskiem zamieniają się bez wahania w wulgarnych dostawców popytnego artykułu, prześcigających się wzajem w znieprawianiu smaku mas.

Zwolennicy obecnego systemu, powiększają-

cego tak znakomicie honorarja autorskie, powołują się na związane z tym faktem wybitne wzmożenie się produkcji teatralnej w Ameryce. Importując do niedawna sztuki, Stany Zjednoczone mogą eksportować je obecnie. Ale chodzi tu o wartość gatunkową tego eksportu, a ta, jak dotąd, jest na ogół dość niska, do czego przyczyniają się niewątpliwie w dużej mierze pobudki, jakiemi kieruje się większość autorów zarówno w wyborze przedmiotu, jak w sposobie jego traktowania. Racje artystyczne schodzą tu często na plan bardzo daleki, jeśli nie ostatni.

Obrońcy systemu zwracają również uwagę na niezrównane zgranie aktorów, produkujących się razem w jednej i tej samej sztuce przez całe lata, choć prawie nigdy właściwie trupa nie pozostaje do końca w całkowitym swym zespole pierwotnym. Ale przeciwnicy jego odpowiadają, z nierównie większą słusznością, że granie jednej i tej samej roli tysiąc i więcej razy z rzędu w sztuce zbierającej laury przez parę lat kolejnych musi zmechanizować najlepszego nawet aktora i zamienić go co najwyżej w doskonały automat, a w każdym razie paraliżuje bezwzględnie rozkwit jego indywidualności. Z drugiej strony, przy przenoszeniu się trup z miasta do miasta nie może być mowy o ustaleniu jakiegoś ściślejszego kontaktu pomiędzy publicznością i aktorem. A pomijamy już różne względy uboczne, powiększające wadliwości tej organizacji, jak np. wędrowny żywot aktora, nie osiedlonego właściwie nigdzie.

A jednak, mimo wszystkie jej wady i braki, mimo odzywające się ze wszystkich stron zarzuty i krytyki, wątpliwem jest, jak powiedzieliśmy na wstępie by przeprowadzono w niej poważne zmiany, i to nietylko dlatego, że nie leży to w interesie autorów i managerów. Istotnie, obecny stan rzeczy wytworzył się poniekąd pod wpływem warunków geograficznych i ekonomicznych. Londyn jest głównem ogniskiem zbiorowego życia Anglji, tak jak Paryż Francji. Natomiast New York nie przedstawia sobą bynajmniej stolicy Stanów Zjednoczonych, a tylko w szeregu rywalizujących z nim wielkich miast przodujące z pośród nich, Żadne miasto w Anglji i Francji nie rywalizuje z Londynem i Paryżem, naokół których ześrodkowuje się bezsprzecznie życie duchowe kraju. Wraz z długą tradycją historyczną działają tu i względy geograficzne, wytwarzające wielką łatwość komunikacji. W tych i większości innych krajów europejskich miłośnicy teatru mogą właściwie pozwalać sobie bez zbytnich komplikacji na częste wycieczki do stolicy i zaznajamianie się podczas sezonu ze wszystkiemi wybitniejszemi sztukami, przedstawianemi na różnych jej scenach. Ogromne przestrzenie, dzielące od siebie poszczególne Stany, czynią dla ich obywateli nierównie trudniejszemi podobne ekskursje do New Yorku. Objeżdżanie głównych miast kraju ze sztukami wystawionemi uprzednio w metropolii odpowiada przeto potrzebie wytworzonej przez te trudności geograficzne, a z drugiej strony daje organizacji teatralnej krzepkie podstawy ekonomiczne. System ten nie przeszkadza zresztą bezwzględnie istnieniu scen i trup lokalnych, które też powstają raz po raz w różnych miastach i funkcjonują niezależnie od wędrownych. W końcu, jak stwierdza słusznie część krytyki, nie zamykającej bynajmniej oczu na bardzo ciężkie niedomagania teatru, kosmopolityzm ludności Stanów Zjednoczonych, a stąd różnorodność jej zainteresowań, zmuszają bądź co bądź managerów do liczenia się z niemi. Pamiętajmy również, że New York ma blisko pięć milionów mieszkańców. To też w ciągu każdego sezonu wystawia znacznie więcej nowości, niż którakolwiek ze stolic europejskich, a wśród nich i rzeczy trwałej wartości artystycznej, między innemi wybitne produkcje autorów obcych. Każdy sezon wprowadza też na afisz kilka arcydzieł Szekspira. Wreszcie nie brak tu młodych zrzeszeń artystycznych, — autorów, całkowicie świadomych rozmiarów zła i zwalczających je w miarę sił i środków. Żadne z nich nie może jeszcze wykreślić swej akcji szerszego pola działania, ale sam fakt mnożenia się takich zrzeszeń jest już objawem dodatnim, pozwalającym patrzeć w przyszłość z mniejszym niepokojem.

W.

BOLSZEWICY NA WSCHODZIE.

Zawojowanie Gruzji bolszewicy tłomaczą przeprowadzaniem swej wschodniej polityki, ponieważ wyzwolenie ujarzmionych narodów Wschodu od imperjalistów Europy wymagało zburzenia podstawy tychże imperjalistów, na czele których stała Gruzja.

Bolszewicy są specjalistami od rewolucyjnej frazeologji. Za pomocą tej frazeologji zaprowadzali oni socjalizm. Wyświetlenie wschodniej polityki bolszewików stale się koniecznem, tem bardziej, że polityka ta zaczyna być obecnie zbyt aktualną.

W czem zawiera się wschodnia polityka bolszewików? Jakie są powody tej polityki i jakie skutki może ona wywołać?

Dla Rosji Wschód był zawsze przedmiotem imperjalistycznych dążeń. Jej oczy były zawsze zwrócone w tamtą stronę i marzenia o podboju Konstantynopola i innych krajów Turcji nie dawały jej spokoju. Naciskana przez wielkie mocarstwa Europy, dążyła ona w kierunku Wschodu i usiłowała zdobyć nowe posiadłości. Bolszewicka Rosja nie zdradziła swej poprzedniczki i poszła tą samą drogą. Tylko zamiast nacjonalizmu głosi hasło wyzwolenia ujarzmionych narodów. Bliższa Azja wogóle przedstawia kolonję Europy. Po wojnie światowej i podziale Turcji terytorjum takich kolonji powiększyło się i tam kapitał europejski znalazł sobie nowe pole do działania.

Wyzwolenie tych kolonji i ich odrodzenie uważane jest w socjalistycznej literaturze jako środek powodujący upadek panowania wszechświatowego europejskiej burżuazji, ale w jaki sposób to przeprowadzić? Oto za pomocą wprowadzenia kultury do tych krajów. Kapitał europejski, który buduje tu koleje żelazne, fabryki i rozwija przemysł, tem samem przyczynia się do przebudzenia tych krajów i podcina gałąź, na której siedzi. I o ile ten proces europeizacji narodu idzie naprzód, o tyle podstawy panowania europejskiego kapitalizmu chwieją się i kolonje osiągną nieza-

leżność tak jak to się stało 140 lat temu w Północnej Ameryce. I dlatego my walczymy nie przeciwko najściu kapitału do Azji, a tylko z jego ujemnemi stronami i żeby z jak najmniejszemi cierpieniami przeprowadzić ten niezbędny okres europeizacji. A bolszewicy głoszą, że oni chcą zaraz, bez zwłoki przeprowadzić ludy Azji do królestwa socjalizmu. Czy są oni w stanie to przeprowadzić? Czy dążą oni do tego celu? Bezwarunkowo — nie. Bolszewizm w taki sam sposób zrealizuje to, jak wprowadził socjalizm w Rosji. Aby tego dowieść, dostatecznem jest zanalizować przyczyny działań komunizmu i jego podkład.

Niema wątpliwości, że bolszewizm powstał jako dyktatura wojskowa i pozostał takim do dzisiejszego dnia. Opiera on się całkowicie na wojsku. Ale skąd powstało to wojsko? Kto go żywi i kto dostarcza kontyngentu, Przeważnie Wielkorosja. Przed rewolucją nadawała ona ton rosyjskiej polityce. Przedstawiała ona nację panującą. Polska, Kaukaz, Ukraina, Turkiestan, Syberja i t.d. były zmuszone służyć jej interesom. Wielkorosja jess mało urodzajna i dlatego tam szybko rozwinął się przemysł drzewny i na tym gruncie powstały fabryki. Okrąg Moskiewski i Ural były dwoma głównemi ośrodkami przemysłu w całej Rosji, do których dążył surowiec z pozostałej Rosji; ale wobec niedostatecznego rozwinięcia przemysłu, wyżywienie wszystkich mieszkańców Wielkorosji stało się niemożebnem i Wielkorosja dostarczała emigrantów na kresy, którzy propagowali politykę i panowanie środka. Ale najważniejsze jest to, że Wielkorosja będąc centrum przemysłu stała się terenem rewolucji.

Tam runął caryzm. Panując nad środkiem, zawładnął bolszewizm całą Rosją. Przemysł pod panowaniem bolszewików zawalił się, robotnik pozostał bez pracy i w obliczu śmierci szuka wyjścia. To wyjście zawiera się w zawojowaniu sąsiednich państw i ich eksploatacji. Dawniej Moskwa otrzymywała bawełnę z Turkiestanu, naftę z Baku, zboże z Ukrainy i t. d. Obecnie nie ma nic do zamiany i zmuszona jest brać siłą, do czego komunizm nadaje się jaknajlepiej. Ciekawe jest to, że po zamknięciu w tym rejonie wszystkich fabryk, fabryki amunicji intensywnie pracują, dostarczając broń wojsku. O pożywienie wojska samo ono musi się starać nie tylko dla siebie, ale i dla swej rodziny t. j. Wielkorosji. Tym sposobem, będąc dawniej władcą ekonomicznym, obecnie za pomocą bagnetów wymusza dla siebie żywność. Wojsko przedstawia się jako narzędzie do wymuszania żywności i stąd wielka łatwość poboru. Rabunek ten widzimy w Gruzji, na Ukrainie, w okręgach Kozackich, gdzie na tle rabunku żywności mają miejsce stałe potyczki i bitwy. Oczywista rzecz, że takie wojsko nie przedstawia się jakie oswobodziciel lecz jak rabus. I wejście jego do ludów Azji pociągnęłoby nie ich wyzwolenie lecz zniszczenie. Rozumieją to dobrze Gruzja, Turkiest., Adzerbejdżan i Persja, gdzie naród jednomyślnie powstał przeciwko bolszewikom. Hasła rewolucyjne proklamowane na Wschodzie są tylko pustemi słowami, aby zrealizować swe straszne imperjalistyczne tendencje. I dlatego bolszewików wypędzają z Persji, a w Anatolji ich przyjaciel Kemal nawet bez litości rozstrzeliwa.

Rosyjska rewolucja, której spadkobiercami uważają siebie bolszewicy, nie znajduje sympatji wśród wschodnich narodów. Wiadomo, że wpływ jednego kraju na drugi zależy od ich łączności społeczno-ekonomicznej, Rosja zaś daleko stoi od ekonomicznego życia narodów Azji, Francuska wielka rewolucja wprowadzała nowe promienie do innych państw Europy tylko dlatego, ponieważ rozwiązane przez nią kwestje stały też na wokandzie, ale nie mogła ona ruszyć z miejsca Rosji, ponieważ ta ostatnia była zbyt zacofaną. Taki stosunek jest między Rosją i narodami Azji i dlatego wciągnąć ich w orbitę rewolucji Rosja nie jest w stanie. Czuje to i sama Moskwa i dlatego zaleca wschodnim komunistom zawarcie związku z paszami muzułmańskimi. Tym sposobem komunizm jako nauka poddaje się im i zbacza od swej rewolucyjnej doktryny i staje się nie do przyjęcia dla Wschodu.

Hasła wyzwolenia z pod zależności od europejskich kapitalistów są popularne u ludow Wschodu, ale wzamian tego otrzymać rosyjskie bagnety wcale im się nie uśmiecha. Tem tłomaczy się polityka Kemala Paszy, Emira Afganistanu, Kuczuk Chana i innych. Przyjmują oni z przyjemnością pomoc od bolszewików, ale walkę prowadzą sami zgodnie ze swemi planami i środkami. Z tego powodu ekspedycja bolszewicka na Indje lub Konstantynopol, którą propagują w armji jest niedościgłem marzeniem i spowodowałaby zgubę Rosji i jej wojska.

Bolszewikom pozostało jedno: wykorzystać niezadowolenie Wschodu, aby wywrzeć nacisk na europejską burżuazję. Raz to już się udało, gdy był zawarty układ z Anglją, który wzmocnił autorytet bolszewików. Więcej zwycięstw nie mieli, przeciwnie i ten układ jest zagrożony. Na drodze dyplomatycznej sowiety nie mogą nic wskórać z Turkami. Aby przedłużyć formalną przyjaźń z Kemalem, zmuszeni są dawać mu pieniądze, broń, amunicję i ustępować strategiczne punkty, jak np. Kars, Ardahan. Z tego okazuje się zupełna niemoc bolszewików w kwestji Wschodniej.

Przez zajęcie Gruzji dosięgli najwyższego punktu swych zamierzeń, skąd rozpocznie się okres degradacji, zniszczenia i zawalenia się sowietów.

Sergo Kuruliszwili.

ŻAŁOBNY LATOPIS.

Leży przedemną № 7 wydawanego przez Rosyjską Akademię Nauk w Piotrogrodzie „Russkawo Jstoryczewskawo Żurnała“ z r. 1921. Na stronicach 229-261 pisma tego zamieszczony jest „żałobny latopis“, czyli spis działaczy rosyjskich w dziedzinie nauk humanitarnych, zmarłych w Rosji od czasów przewrotu bolszewickiego.

Spis ten zawiera 199 nazwisk, w tej liczbie 17 zabitych i samobójców. Nazwiska te nie mogą być obojętne dla wszystkich, kto przyjmował udział w życiuumysłowem Rosji, kto śledził za tem życiem lub korzystał ze zdobyczy kulturalnych rosyjskich.

Są w tym spisie — że wymienimy tylko jedną piątą część: Arsenjew Konstanty — akademik i publicysta, Biełokurow Sergiusz — archeograf

i historyk, Brandt Roman — slawista, Chwostow Włodzimierz—prawnik i socjolog (saombójca), Dawydow Mikołaj — literat i działacz sądowy i społeczny, Djakonow Michał — historyk prawa ros., w. ks. Georgiji Michajłowicz — numizmata (zabity), Gerje Włodzimierz — historyk, Gessen Włodzimierz — historyk nauk politycznych, Goriainow Sergjusz — dyrektor Archiwum Państw. w Piotrogrodzie i historyk, Jefimienko Aleksandra — historyk (zabita), Kabłukow Mikołaj — ekonomista, Kaptierew Mikołaj — historyk cerkwi, Karaułow Michał — członek Dumy i historyk kozaczyzny (zabity), Kaufman Aleksander — ekonomista, Kistiakowski Bohdan — socjolog, Kniaźkow Sergiusz — historyk (zabity), Kobieko Dymitr — dyrektor Biblioteki Publicznej w Piotrogrodzie, Kuliszer Michał — etnograf i historyk kultury, Łappo-Danilewski Aleksander — historyk, Łopatin Leon — filozof, przyjaciel Wł. Gołowjewa, Łuczycki Jan — historyk, w. ks. Mikołaj Michajłowicz — historyk (zabity), Muretow Dymitr — filozof (zabity), Nikolski Borys — prof. historji prawa rzymskiego i literat (zabity). Nolde Aleksander — prof. historji prawa rzymskiegd i cywilnego (zabity), Owsianiko-Kulikowski Dymitr— historyk literatury. Palmow Iwan — slawista, Pokrowski Mikołaj — archeolog, dyrektor Instytutu Archeologicznego w Piotrogrodzie, Prugawin Aleksander — publicysta, znawca cerkiewnych stosunków, Radłow Bazyli — orjentalista, Rożdiestwienski Mikołaj — historyk i bibliotekarz Archiwum Głównego Minist. Spraw Zagr. w Moskwie, Sawwa Włodzimierz — historyk (samobójca), Szachmatow Aleksy — akademik, lingwista, Szczepkin Eugenjusz — historyk, Szczepkin Wiaczesław — slawista, Szeremietjew Sergiusz — mecenata, wydawca materjałów historycznych, Szlapkin Eljasz — historyk literatury, Szypow Dymitr — memuarysta i działacz społeczny, Tugan-Baranowski Michał — ekonomista, Turajew Borys — egiptolog.

Każdy naród spełnia swe przeznaczenie o tyle, o ile według sił swoich wnosi cząstkę swoją do ogólnej skarbnicy wiecznej kultury światowej. Ludziom, którzy w ten właśnie sposób pojmowali zadanie narodu rosyjskiego i swe osobiste, ludziom, którzy wśród niewysłowionych cierpień obecnej Rosji trwali na swych szczytnych placówkach i w obronie dobytku kulturalnego narodu swego oddali swe życie ofiarne, ludziom tym — cześć i chwała.

Jan Riabinin.

Książki i czasopisma nadesłane.

Księgarnia Św. Wojciecha w Poznaniu wydała szereg książeczek, które mają stanowić zaczątek obszernej bibljoteki popularnej zarówno dla młodzieży, jak dla starszych. Na okładce każdej książki umieszczono obrazek, wykonany przez artystę-malarza, a ilustrujący treść opowiadania. Dotychczas wyszły następujące utwory:

1) *Kazimierz Gliński*: Kowalowa góra. St. 36. w 16-ce.

2) *Kazimierz Gliński*: Murłaj. Nowela. St. 28, w 16-ce.

3) *Kazimierz Gliński*: Pan radca. Filipek. Nowele. Str. 52 w 16-ce.

4) *Kazimierz Gliński*: Avel Nowela. Str. 82 w 16-ce.

5) *Kazimierz Gliński*: Wielki. Szlem. Wujaszek. Nowele. Str. 38 w 16-ce.

6) *Kazimierz Gliński*: Przeklęty ród. Nowele. Str. 96 w 16-ce.

7) *Jerzy Orwicz*: Cyrograf. Nowele. Str. 48 w 16-ce.

8) *Jeszy Orwicz*: Gołębice. Szkic powieściowy z początku IV wieku po Urodz. Chrystusa. Str. 84 w 16-ce.

9) *Zuzanna Morawska:* Skarbiec Faraona. Opowieść egipska. Str. 65 w 16-ce.

Od wydawnictwa.

Uprzejmie prosimy Sz. prenumeratorów o rychłe wznowienie prenumeraty na bieżący kwartał.

Od Redakcji.

W następnym numerze dajemy dział gospodarczo-kolejowy.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.